

Cassino

2. Korpus Polski pod dowództwem gen. Andersa idzie w składzie: 3. Dywizja Strzelców Karpackich, gen. Duch; 5. Kresowa Dywizja Piechoty, gen. Sulik; 2. Brygada Czołgów, gen. Rakowski. Obie dywizje piechoty zajmują odcinek już od paru tygodni; gen. Rakowski wyładował się niedawno w Neapolu i stoi w odwodzie. Korpus jest doskonale wyposażony, wyćwiczony i owiany \square światnym duchem bojowym, ale jest liczbowo słaby; dywizje piechoty mają po 6 batalionów zaledwie i to niepełnych. Naprzeciw mamy jedną z najlepszych dywizji spadochronowych niemieckich. Teren jest taki, że kto go widział, nie uwierzy: nagie, strome wzgórze pod \square światną obserwacją i ogniem z trzech stron znakomicie umocnionego nieprzyjaciela.

Natarcie nie pójdzie na wzgórze klasztorne, którego zdobyć nie mogli nasi poprzednicy, mimo bohaterskich wysiłków i olbrzymich strat. Korpus uderzy na pagórki między Monte Cairo a Monte Cassino; doliną na lewo ruszy natarcie naszych kolegów brytyjskich. Piąta dywizja stoi na prawym skrzydle, na lewym, bliżej klasztoru, trzecia. Zmasowano artylerię i ogromne lotnictwo. Przygotowanie zacznie się dziś wieczór.

11 maja godz. 22:50. Krąży lotnik niemiecki; bombardował, narobił szkody. Nie mogło być inaczej: w całej dolinie, aż po Rapido, stoi wóz przy wozie i namiot przy namiocie. Wraca teraz i syreny wyją znowu, niepotrzebnie, bo kryć się nie ma gdzie. Artyleria milczy, noc jest cudowna.

Był przed wieczorem o. Studziński, trochę zastraszone, nie ogniem, ale własnym niedoświadczeniem. Uznał za stosowne przyjechać po rady „fachowe”, jak gdyby ktokolwiek z nas „starych” miał pojęcie o służbie kapelana w bitwie czołgów: pod Monte Cassino po raz pierwszy w dziejach polskie czołgi, godne tej nazwy, pójda masą do natarcia. Zresztą o. Studziński pokazał wysoką „technikę”. Kiedy pięli się po piekielnej Cavendish Road w nocy, bez \square światła, pod ostrym ogniem, po prostu wysiadł z White'a i resztę akcji - 48 godzin - odbył pieszo, błądząc w dymie, między czołgami, na tej przelęcznej śmierci pod klasztorem.

Ks. biskup połowy wychodzi z namiotu-kaplicy, spogląda z roztargnieniem w niebo i pyta, czy już. Melduję, że za pięć minut. Siadamy na ławce. Niemca już nie ma, cisza jest zupełna. Nagle gdzie na San Pietro Infine pada strzał armatni i w chwilę po tym zrywa się burza, w dziwaczny sposób akustycznie pokoślawiona przez echo gór. Chwilami to nie jest huk, ale wprost ryk dział, których strzały zlewają się w jeden przeciągły grzmot; w tych chwilach ziemia naprawdę drży. Potem ma się wrażenie, że niezliczone pułki naszej artylerii zaczynają jechać wprzód, ku nieprzyjacielowi: głos oddala się coraz bardziej, aż zniknie zupełnie. Przez chwilę jest cisza, którą przerwą poszczególne wystrzały, aż wróci ryk, jak gdyby artylerzyści się byli zbudzili. Burza będzie szalała przez parę minut, aby znowu milknąć i zginąć w zupełnej prawie ciszy.

Ks. biskup marszczy brwi: on, stary żołnierz spod Verdun, nie takie widywał przygotowania artyleryjskie. Wychodzę za bramę obozu, skąd lepiej widać linię, i stwierdzam, że stanowiska niemieckie palą się po prostu nieustannym jasnoczerwonym ogniem. Te przerwy to tylko złudzenie: nawała ognia jest ciągła, o kolosalnej intensywności. Bitwa się zaczęła.

12 maja, godz. 1:30. Ksiądz biskup postanowił odprawić Mszę św. o 1:15 w nocy, tak aby podniesienie wypadło na początek natarcia. Namiot kapelana jest ciasny, szaty liturgiczne biedne i pomięte; dwie małe świece palą się na stole-ołtarzu; komendant SOE 5 i paru żołnierzy tylko klęczy w mroku. Ale tu jest kawałek historii. W chwilach gdy ryk dział zdaje się zbliżać, płachty namiotu falują i świece trzeba ochraniać, aby nie gasły. Ks. biskup odmówił prefację, gdy artyleria zamilkła, tym razem natarcie jest naprawdę w toku. Słyszę słowa konsekracji: Ten jest kielich krwi mojej..." i wiem, że ksiądz biskup modli się z nami wszystkimi za tych, którzy w tej chwili giną.

Cisza trwa przez chwilę. Teraz działa strzelają znowu, ale już nie tak jak przedtem, chaotycznie jako. Próbuję się łączyć z piątą; nie ma połączenia. Nie wiem dlaczego, zaczyna mnie ogarniać niepokój.

12 maja, godz. 9:00. Niepokój nie był bezpodstawny; jesteśmy pobici. Od rana w SOE 3 zaczyna się krwawy ruch. Długie kolumny sanitarek przywożą, jedna za drugą, setki i setki pokaleczonych ciał. W pół godziny pełne są sale szkolne, pełne korytarze. Trzeba układać w ogrodzie; pod drzewami, na trawie, na grzędach kwiatów, w każdym zakątku leżą ranni żołnierze. W SOE 3, choć praca wre, panuje cisza. Nie ma jęków: morfina. Zespół, wcale nieświęty, cierpiący wczoraj jeszcze na Bóg wie ile hysterii i intryg, odmienił się nagle, pracuje w rękach świetnego komendanta jak sprawna maszyna, cicho, dokładnie, z poświęceniem i troskliwością. Będzie tak pracował przez cały tydzień, aż do zwycięstwa. Ale w SOE 3 jest nastrój troski i przygnębienia. Każdy ranny pyta nieodmiennie o to samo: czy klasztor wzięty? Niestety, od rana już wiem, że nie, że jesteśmy pobici, że pierwsza faza bitwy kończy się porażką. Ogień artylerii nie miał spodziewanego efektu: bunkry stoją. Jesteśmy zepchnięci na pozycje wyjściowe. Jak to powiedzieć ludziom, którzy cierpią, a gotowi są cierpieć jeszcze, byle klasztor był wzięty? Ktoś mówi grupie rannych prawdę. Jestem świadkiem ataku rozpaczliwego młodego chłopca, który zrywa sobie odznaki i histerycznie krzyczy. Słucham opowiadań o piekle na San Angelo i 593, przerywanych ciągle tym samym pytaniem: czy klasztor wzięty?

Okropny dzień: kryzys bitwy.

12 maja, godz. 15:00. Ks. biskup pracował przez wiele godzin jak zwykły kapelan; teraz jest pracy mniej i przyjechaliśmy do dowództwa. Robię wielkie odkrycie. Wiedziałem, bo to jest elementarna prawda, że w każdej bitwie jest kryzys, który uderza w walczącego żołnierza i, zwłaszcza, w dowódcę, tym silniej, im wyższy szczebel. W dowództwie Korpusu stwierdzam nowy dla mnie fakt: kryzys bitwy uderzył ze straszliwą siłą w małych pomocników wodza, w telefonistów, pisarzy,

w podrzędnych wykonawców. Widzę ludzi jakby wyciągniętych z grobu, z zapadłymi policzkami i podbitymi oczyma, wyczerpanych i prawie załamanych. Za to generał jest niezrównany: zimny, spokojny, ostry i uprzejmy zarazem, trzyma drgający kurczowo organizm skrwawionego Korpusu w żelaznym uchwycie swojej woli.

Był gen. Leese. Jest dobrej myśli; gratulował naszemu generałowi i oświadczył, że ich dostaniemy: „We shall get them”. Nakazał zaprzestać dalszych prób, reorganizować się i przeczekać.

Na niebie jest straszno: od godziny już przeszło, klucz za kluczem, ciągną na północ bombowce. Naliczyłem ich, czekając przy samochodzie, prawie 800, potem musiałem przerwać. Położenie: największe powodzenie osiągnął na lewym skrzydle gen. Juin. Wyszedł czterema dywizjami na jedną tylko niczego się nie spodziewającą dywizję niemiecką i rozbił ją od razu w puch. On sam i Amerykanie na jego lewym skrzydle posuwają się szybko naprzód. Niestety, rzut oka na mapę wystarczy, aby się przekonać, że nam to zadania nie ułatwi. W dolinie Liri działy się podobno straszne rzeczy: trzynastka angielska skrwawiła się tak, że mówią o konieczności wycofania dwóch dywizji. Ale trzynastka wdarła się, mimo strat, w linię nieprzyjacielską. My jesteśmy zepchnięci na pozycje wyjściowe. Na naszym prawym skrzydle Nowozelandczycy nie pokazali klasy godnej ich tradycji bojowej. Demonstrowali bez serca i prędko dali spokój; nie potrafili nawet ściągnąć na siebie części niemieckiego ognia, bo nieprzyjaciel zorientował się szybko i obrócił wszystkie działa na naszą piechotę.

Przebieg natarcia był następujący. Po przygotowaniu artyleryjskim piechota obu dywizji weszła do natarcia z wielkim impetem. „Deska” (3. DSK) zajęła niemal jednym skokiem wzgórze 593, kluczowe, cel natarcia. Gorzej poszło piątej (5. KDP), która nie zdołała się wedrzeć dostatecznie głęboko i zaległa pod morderczym ogniem. Ten ogień okazał się niezwykle gęsty i celny, zwłaszcza ogień moździerzy. Niemcy bili ze wszystkich stron, nawet z tyłu, gdzie stały ich ciężkie baterie w Attine i bliżej. Jednym z charakterystycznych i szczególnie tragicznych momentów bitwy o Monte Cassino były rozpaczliwe wołania radiowe piechoty o zaprzestanie ognia na zajęte już stanowiska, bo piechurzy, ostrzeliwani z tyłu, byli pewni, że bije ich własna artyleria. Szczególnym piekłem w tej kotlinie śmierci stało się wzgórze 593, na które nieprzyjaciel kierował nieustanną nawałą ognia wszystkich broni. Dzielna piechota wytrwała mimo to przez cały dzień; dopiero w nocy trzeba było ściągnąć niedobitki.

Ten opis nie pozwala nawet w przybliżeniu, nawet starym żołnierzom, wczuć się w grozę tej walki. Trzeba zobaczyć teren, aby ją zrozumieć.

12 maja, godz. 16:30. Pisałem kiedy o poczwórnym pięknie wojny, o jej czterech obliczach, które kolejno zachodzą, jedno za drugie: piękno harmonijne, wzniosłość grozy, piękno organizacji i piękno moralne. Niespodziewanie przeżywam, wbrew mojej teorii, wszystkie cztery formy tego piękna razem. Groza jest, wyniesiona z SOE, wiejąca z wysadzonych stosów amunicji i porozbijanych wozów. Piękno organizacji mam po raz pierwszy sposobność podziwiać z tak wysokiego szczebla:

skomplikowana maszyna Korpusu gra w ręku dowódcy jak cudownie precyzyjne narzędzie. W tej chwili dominuje jednak strona moralna. Stało się coś prawie nadludzkiego: Korpus, kilkadziesiąt tysięcy ludzi, zaczął żyć wczoraj i żyje jak jedna istota, przejęta jedyną myślą i jedną wolą o nieprawdopodobnym napięciu. Stąd te fascynujące fragmenty, których tak mało, niestety, przejdzie do historii. Meldunek porucznika w namiocie dowódcy: Panie Generale, melduję, że żołnierze umieją „umierać”. Śmierć płk. Kurka. Batalion płk. Domonia, który poszedł po wariacku, bez rozkazów, w ogień i śmierć. Artylerzyści maszyny, którzy pracowali przez tyle godzin bez odpoczynku, nieprzytomni prawie ze zmęczenia. Kierowca z Inferno Track, który, ciężko ranny, pod ogniem, bez świateł, dowiózł swoich rannych do SOE, aby w nim umrzeć nazajutrz. I nieustanny szept gorączką palonych warg w moim szpitalu: czy klasztor wzięty?

Wojna jest wielką wielkością moralną i z pasją myślę o głupcach, pisarzach, którzy prorokują z foteli koniec bohaterstwa i „wiek techniki”. Nie ma końca bohaterstwa i żadna technika go nie zastąpi: bitwę toczy, w bitwie się krwawi i pada człowiek, wielki nie techniką, ale charakterem.

Ale skoro o technice mowa, i ona jest, a z nią ten pierwszy aspekt piękna bitwy, który według mojej teorii powinien być zginąć przy nastaniu grozy i bohaterstwa. W tej chwili drogą przede mną toczy się z grzmotem długa kolumna czołgów. Niezapomniany widok. W ogromnych tumanach kurzu wyrwanej przez gąsienice jezdni, z piekielnym rykiem silników jadą ciężkie wozy wojenne. W otwartych klapach nieproporcjonalnie wiotkie postacie młodych, jasnych chłopców, w czarnych beretach na bakier, z lornetką u pasa, pięknych jak greccy bogowie i wiedzących o tym, dumnych i wesołych. Generał podciąga odwody: jadą w ogień i paszcze dział są odkryte. Z warsztatówki powychodzili żołnierze i patrzą w skupieniu, jakby na procesję. Ja sam nie mogę oprzeć się wzruszeniu: ta kolumna odzwierciedla w niezwykły sposób istotę wojennego charakteru, połączenie siły i prawości: straszliwa moc dział i motorów w sprawnych rękach chłopców o jasnych oczach i duszy.

17 maja, godz. 17:00. Wąska dolina Rapido pokryta jest białym dymem, który buchając z setek punktów przesłania nasze życie i ruch przed obserwacją nieprzyjaciela. Poprzez dym rysuje się kolos Monte Cairo, tak bliski, jak gdyby wisiał nad nami. Czasami, gdy wiatr zwiewa zasłonę, na lewo, w górze pojawia się czarny kłęb wybuchów: Monte Cassino. Ale człowieka, który wejdzie tutaj ze spokojnego Inferno Track oszałamia nie tyle ten widok - jeden z najbardziej niesamowitych, jakie widziałem w życiu - ile głos, potworny głos wielkiej bitwy: drugie natarcie jest w toku.

Głos bitwy brzmi jak skomplikowana orkiestra; z głuchym trzaskiem pękają po całej dolinie, pstrząc białą zasłonę dymu, pociski niemieckie; dudnią strzały naszej artylerii, która pracuje znowu całą siłą; w przerwach słychać nieustanny warkot broni maszynowej i ostre, męczące szczekanie moździerzy. Najbardziej niesamowite jest w tym wszystkim tło dźwiękowe, wycie pocisków naszych i niemieckich, które lecą tak gęsto, że sprawiają zupełnie wrażenie sklepienia. Przypominam sobie kiedy

czytany wiersz Polski Podziemnej: „A kiedy poniosą chłopcy znowu, pod łuki łuny i ołowiu...” To jest to: jedno nieprzerwane, ponure wycie pocisków, świetnie naśladowane przez anonimowego poetę.

Z „piekielnego traktu”, migającego siatkami maskowniczymi i tymi napisami „Nie daj się zabić”, wypadły na pełnym gazie dwa łażiki. Przy kierownicy pierwszego chuda postać i surowa twarz ks. Judyckiego, Szefa Duszpasterstwa Piątej Dywizji Kresowej. W drugim starszy pan w przeciw iperytowym płaszczu, szarym od kurzu, i stalowym hełmie na siwych włosach: to Eksceleńcja na jednej z codziennych arcy-pasterskich wizytacji. Łażiki sadzą w dymie i ryku z wybojów na wybój, dosłownie jak konie. Skrzyżowanie: żandarm w białych rękawiczkach wskazuje drogę prawidłowo, jak w wielkim mieście, i dostrzegłszy twarz ks. biskupa saltuje z wyrafinowaną prostotą, jak to tylko nasi żandarmi potrafią. Bum! Granat koło drogi. Zakręt, znowu granat i łażiki wpadają na wysunięty Punkt Opatrunkowy.

Dostrzegli nas i podnoszą alarm. Z domku na brzegu oliwnego gaju biegają doktorzy, gruby ks. kapelan Łuszczka i chłopcy. Obrośnięci wszyscy, czarni, niewyspani: pracują wszyscy bez wytchnienia od Bóg wie jak dawna. Powitanie w tym dymie i huku jest jedyne: kapelan klęka, jak ryt nakazuje, doktorzy prężą się służyć, a w oczach chłopców czytam radość z dostojnych odwiedzin. Ks. biskup także nie traci fasonu, choć hełm do infuły zgoła niepodobny, grubą warstwą kurzu pokryty płaszcz niczym nie przypomina farioli, a zeskok z łażika polowemu biskupowi chyba przystoi. Prowadzą Eksceleńcję uroczyście do domku.

Mroczne wnętrze. Czterech półnagich rannych majączy w transfuzji, a krew sączy im się w żyły z butelek sznurkami przywiązanych do pułapu. Lżej ranni siedzą na ławie; stary kapral z uderzającą troskliwością opatruje właśnie jednego. Ks. biskup siada przy kulawym stole i przegląda notatki. Jeden z lekarzy przynosi menażkę kakao. Ściany drżą i tynk się sypie na głowy.

18 maja, godz. 10:00. Natarcie, które wyszło wczoraj po południu, udało się i nasza piechota zajęła znowu te złowieszcze szczyty, tym razem wszystkie. Trzynasty Korpus także posunął się w dolinie. Dziś nad ranem był mimo wszystko drugi kryzys bitwy i położenie przedstawiało się dramatycznie. Byliśmy wszyscy, w sztabach, szpitalach, warsztatówkach, przy działach, nie mówiąc już o piechocie i czołgach, u kresu sił fizycznych i nerwowych. Ostatniej nocy nie mogłem w ogóle zasnąć z przemęczenia. Ks. biskup także. Odwodów nie było: generał posłał w ogień wszystko, co miał, z kompanią ochrony sztabu włącznie; dowódca 3. DSK zebrał starożytnym polskim zwyczajem ciurów, chcę powiedzieć, telefonistów, pisarzy i kasynowych, aby ich posłać na linię. Jeszcze jeden dzień bitwy, a nie starczyłoby już wytrzymałości. Cele natarcia były osiągnięte, ale o 6 rano zebrano w dowództwie meldunki o znacznym skupieniu piechoty i broni pancerniej nieprzyjaciela, gotowych do przeciwuderzenia. Przeciwnatarcia nie było potrzeba, bo nagie szczyty gór nie pozwoliły naszej piechocie na żadne umocnienie się, sił do podciągnięcia ciężkiej broni brakło, a odwody były już wyczerpane. Gdyby te meldunki były prawdziwe, gdyby przeciwuderzenie było wyszło nad ranem, bitwa byłaby przegrana. Nie mieli-

śmy już sił, naszych dwanaście batalionów dało z siebie wszystko, i więcej niż było po ludzku możliwe w walce w tak trudnym terenie. Przegrana nie byłaby hańbą.

Ale meldunki były fałszywe, nieprzyjaciel odchodził, a raczej odchodzili ci, co w jego oddziałach pozostali przy życiu - niewielu. Dziwna rzecz: myśmy pogrzebali koło tysiąca poległych i mamy w szpitalach do trzech tysięcy rannych; u nich, jak słyszę, jednej dywizji po prostu nie ma.

18 maja, godz. 14:10. Niebo pod Cervaro jest czyste i słońce świeci znowu, jak wtedy; namiot ten sam i ci sami ludzie, tylko z piętnem dni wysiłku i grozy na twarzach. Generał czyta głośno swój meldunek. Z dala dochodzi grzmot dział, co biją w Piedimonte, a czasem z nie zdobytej jeszcze Attine doleci ze świstem ciężki pocisk niemiecki. Ale to już koniec: bitwa jest wygrana.

Wraca codzienność. Generał zżyma się, że za mało obiecują dla jego żołnierzy odznaczeń. Szef sanitarny wściekły, bo już są samochodowe wypadki. Piechota klnie na złe kwatery, warsztatówki, te same, co w ciągu bitwy potrafiły naprawić 52 działa - na nadmiar pracy. Urwała się półośka w naszym samochodzie. Trzech chłopców w battle-dressach poszarpanych kulami przyjeżdża do ks. biskupa z pretensją, że im zabrał „ich” księdza. Ramzesy urągają Buzułakom, Buzułaki Ramzesom. Kierowca prosi, aby mu ułatwić kupno kasztana. Aż nagle zatrzeszczą aparaty, długie kolumny potoczą się w tumanach kurzu, wioząc dziesiątki tysięcy ludzi, jeszcze białych po bitwie, a już pogrążonych w codzienności, do Campobasso, Peskary, na front adriatycki, po nowe trudy, walki, zawody.

Tyle moje zapiski. A oto jeszcze jedno wspomnienie i jedno opowiadanie ilustrujące postawę naszych żołnierzy. Jadę raz jeepem na widoku nieprzyjaciela z flagą czerwonego krzyża, do której, jako kapelan, miałem prawo. Napotykamy generała, zapomniałem niestety jakiego, który szedł pieszo. Salutujemy obaj, ja i kapral-kierowca. Generał prosi, aby go zabrać do jego sztabu. Salutuję i mówię: „Na rozkaz”, ale mój kapral też saltuje i oświadcza generałowi w twarz, że go nie weźmie, bo generał jest kombatantem, a my pod flagą czerwonego krzyża jedziemy. Tak sobie, kapral, w oczy generałowi - takich mieliśmy żołnierzy! Naturalnie kazałem mu zdjąć flagę i wzięliśmy generała.

Nie mogę powstrzymać się od zreferowania przy tej sposobności tego, co mi ks. dziekan Cieński opowiadał o sposobie rządzenia kapelanami przez obu proboszczów, ks. Judyckiego (5. KDP) i ks. Jońca (3. DSK). Zdarzało się, że kapelan załamał się w ogniu i uciekał ze stanowiska do swojego proboszcza. Początek był wtedy u obu jednakowy. Dawali mu wódki, pocieszali, głaskali. Potem ks. Judycki kładł delikwenta do własnego łóżka i jechał za niego pełnić służbę. Za to ks. Joniec, napoiwszy i pocieszywszy przestraszonego kapelana, sadzał go na jepea, jechał na front i dojechawszy do stanowiska krzyczał tubalnym głosem: „Tu zdechniesz, cholero!”. Skutek miał być w obu wypadkach taki sam.

W dzień po zdobyciu klasztoru postrzelony lotnik niemiecki spadł niedaleko od miasteczka, a że wszędzie było pełno naszych żołnierzy, słysząc wybuch posze-

dłem w kierunku samolotu. Nie było strat u nas. Ale wracając zastałem prawie całą ludność Venafro zebraną na rynku i krzyczącą wniebogłosy. Pytam się: „Dlaczego krzyczycie? Przecież samolot upadł, nie ma go, nie?” – „E caduto, non c'è più”. Otrzymuję przepiękną odpowiedź: „Li signore, noi sappiamo che e caduto, ma la paura, la paura e rimasta” - □Tak, panie, my wiemy, że go nie ma, ale strach, strach został!”

Inne wspomnienie podobnego rodzaju. Poszliśmy z ks. biskupem do małej okolicznej wioski. Wieśniacy poznali biskupa po pierścieniu, przynieśli krzesło i wino. Ksiądz Gawlina zapytał ich, jak się miewają, na co odpowiedzieli, że żyją w ciągłym strachu. Przed czym? Przed samolotami. Ale to są przecież nasze samoloty przyjacielskie, „sono degli aerei amici”. Tak, ale się mylą, „si sbagliano”. No tak, przyznaje ks. biskup, mylą się czasem. „No, monsignore, si sbagliano sempre, sempre” - Nie, ekscelencjo, oni się mylą, zawsze, zawsze!” Byli, biedacy, zapewne pod wrażeniem owego niesławnego bombardowania amerykańskiego, w którym połowa sztabu gen. Juin została wybita.

Po bitwie

Po zdobyciu klasztoru gen. Anders wydał obiad dla dowódców korpusów wchodzących w skład armii gen. Alexandra. Droga wysypana pięknym piaskiem, orkiestry, kilkunastu generałów (prawie każdy inaczej ubrany), za krzesłem każdego pułkownik albo co najmniej, jak w moim wypadku, major. W pewnej chwili ks. biskup Gawlina zaproponował, aby zrobić składkę na odbudowę klasztoru. Na to gen. Alexander, pamiętam dobrze jego słowa, powiedział: „Very good, I gave the order to destroy it and I shall be glad to sign first” - Ja dałem rozkaz zburzenia go i będę się cieszył, jeśli będę mógł podpisać listę składek jako pierwszy”. Podsunąłem mu przygotowaną z góry listę i generał podpisał na 25 funtów czy dolarów, których zresztą, o ile pamiętam, nigdy nie wpłacił.

Rzecz została mi w pamięci jako przykład odwagi, z jaką dowódca godny tego tytułu bierze odpowiedzialność za swoje rozkazy. Naokoło zburzenia klasztoru na Monte Cassino powstała cała literatura potępiająca je jako zbrodnię przeciw kulturze” itp. To są oczywiście nieporozumienia. Dowódca jest w pierwszym rzędzie odpowiedzialny za losy wojny i życie swoich żołnierzy, wszystko inne ma dla niego drugorzędne znaczenie. Jeśli dla uratowania życia jednego żołnierza trzeba wysadzić w powietrze Watykan i Louvre, dowódca wysadzi je bez najmniejszego skrupułu. I czyniąc tak postąpi zgodnie z elementarnymi nakazami moralności, bo na ziemi nic nie jest ważniejsze od życia człowieka. Ale propaganda najróżniejszych klerków i zgniłków stała się w czasach nowożytnych tak wpływowa, że z przyjemnością słyszy się przyznanie do prawdziwej etyki wojennej, takie jak owo powiedzenie gen. Alexandra.

Że w bitwie stawką jest życie ludzkie, o tym nikt nie wiedział lepiej niż nasi kapelani, zajęci po bitwie w ciągu długich dni zbieraniem smutnych resztek poległych. Mnie samemu przypadło zadanie opieki kościelnej nad budową polskiego

cmentarza na Monte Cassino. Nasi architekci mieli problem z gruntem, który był tak wstrząśnięty przez bombardowania, że trzeba było bić długie słupy betonowe pod płyty kamienne tworzące placyk cmentarny. Pamiętam, że ich zdaniem szybka odbudowa opactwa była zadaniem niemal niewykonalnym. Ale Włosi wykonali je w rekordowym czasie - jeśli chodzi o kamieniarstwo, nie ma jak ich.

Mój problem był raczej poetycki niż techniczny. Generał Anders chciał dać na cmentarzu przekład znanego napisu w Termopilach. Ja sądziłem, że mamy dość własnych poetów, aby nie potrzebować pisać na takim cmentarzu cudzych wierszy. Proponowałem strofę Wierzyńskiego:

„Bo z krwi ich i z mąk ich los nasz się dźwigał wysoko i w burzy stoi przed nami olbrzymem”.

Ale czymże jest opinia małego kapelana w porównaniu ze zdaniem zwycięskiego generała. Toteż na cmentarzu widnieje wspomniany plagiat, nie Wierzyński. Innym kłopotem była sprawa „tysiaca”. Cmentarz planowano na tysiąc grobów, ale poległych było znacznie mniej. To nasuwa myśl o niesprawiedliwości historycznej. Kiedy w roku, powiedzmy 2100, dzieci polskie będą się uczyły o historii drugiej wojny światowej, czego się dowiedzą? Ano, o powstaniu warszawskim i o Monte Cassino, a przecież żadne porównanie nie jest możliwe - w Warszawie padły, o ile wiem, dziesiątki tysięcy.

Innym ważnym dla mnie przeżyciem po bitwie było spotkanie z opatem Ildefonsem Rea. Przybył do ks. biskupa po zdobyciu klasztoru i prosił go o umożliwienie odwiedzenia ruin opactwa, sam był mnichem z Monte Cassino. Ks. biskup kazał mi go zawieźć na pagórek. Mam z tej wyprawy wzruszające wspomnienie starego opata, który klęczał i modlił się płacząc na ruinach, przy akompaniamencie wybuchów granatów, bo klasztor był jeszcze pod ostrzałem artylerii nieprzyjaciela. Ks. biskup polecił także oddać o. Rea wszystko, co nasi żołnierze znaleźli w zburzonej zakrystii i kościele opactwa. Niezależnie od tego nasi żołnierze złożyli się na znaczną sumę na odbudowę klasztoru.

Aby się odwdziżyć, o. Rea zaprosił ks. biskupa na Trójcę Świętą do swojego opactwa w Cava dei Tirreni, dokąd pojechaliśmy 3 czerwca 1943 r. Dowiedzieliśmy się, że ono znalazło się między frontami, przy czym o. Rea gościł ponad 5000 (pięć tysięcy) okolicznych włościan. W pewnej chwili zaczęło brakować żywności i opat prosił swoich gości, aby pojechali do Amerykanów i przedstawili im położenie. Bo Niemców był jeden pluton z ckm, a amerykański batalion i bateria artylerii przyjeżdżała rano, strzelała cały dzień i wieczorem wracała na swoje stanowiska - tak od trzech tygodni. Amerykanie zażądali od chłopów żon jako zakładniczek i zdobyli się na rodzaj natarcia, ale Niemcy wycofali się na czas bez strat. Niemcy są, jak mówił pan Wołodyjowski, dobrzy pacholkiwie.

Msza święta w opactwie, celebrowana przez naszego ks. biskupa, należy do najwspanialszych nabożeństw, w jakich wziąłem udział. Procesja, składająca się z co najmniej tysiąca mnichów i uczniów szkół opactwa, przysłała do ks. biskupa

do jego apartamentów i prowadziła po olbrzymich krużgankach i naokoło gmachu do kościoła. Ks. biskupowi asystował ks. dziekan Cieński oraz paru innych polskich księży.

Po nabożeństwie był obiad, podczas którego siedziałem przy włoskim generale, który był komendantem miasta Rzymu w czasie powrotu Niemców. Pytam go, jak to było? Powiada, że miał pięć dywizji, a Niemcy mieli dwie. Jak to? Pan generał miał dwie dywizje, a oni pięć? Nie, ojciec, myśmy mieli pięć dywizji, a oni dwie. Ale, i tu nastąpiło wyznaczenie zdumiewające w ustach włoskiego generała, co można zrobić z pięcioma dywizjami włoskimi przeciw dwóm niemieckim? Wypada mi powiedzieć przy tej sposobności, co ja sam o wojsku włoskim myślę. Muszę przyznać, że włoscy oficerowie niższych stopni mniej mi imponowali i że zachowywali się czasem nieodpowiedzialnie, schodząc np. ze stanowisk bez zawiadomienia. Żołnierz nie wydaje mi się wcale tchórzliwy, ale jest bardzo emocjonalny i jak raz powstanie panika, trudno utrzymać dyscyplinę. Ale potępienie Włochów w czambuł jako tchórzów jest na pewno krzywdzące. A oto całkiem konkretne doświadczenie z tymi żołnierzami. Koło nas walczyła tak zwana banda Maieli, złożona po połowie z rzymskich inteligentów, a po połowie z górali. Nie mieli oficerów i prosili nas o nich. Mimo trudności gen. Anders mógł im odkomenderować, o ile pamiętam, jednego podpułkownika i jednego kapitana. Otóż pod dowództwem tych dwóch wodzów banda Maieli biła się doskonale!

Ich wielką troską był brak armaty, od czasu do czasu pożyczali działa należące do innej podobnej formacji „Popkis Private Army”.

Adriatica

Bezpośrednio po zdobyciu opactwa na Monte Cassino rozpoczęła się seria krwawych walk o dalsze stanowiska nieprzyjaciela. Dla mnie ta okolica jest naładowana wspomnieniami o w. Tomaszu. Niedaleko od opactwa leży Aquino; nasz święty był w szkole na Monte Cassino i tak dalej.

Ks. biskup kwaterował do 31. dalej w Venafro, a od 31 maja wieczorem z powrotem w Campobasso. Nie mieliśmy jednak tam pobyt długo. Już 11 czerwca pojechaliśmy do Rzymu. Ks. biskup zamieszkał u kochanych polskich siostr nazaretanek. W tym czasie został dwa razy przyjęty przez ojca świętego, najpierw sam (19), następnie z generałem Andersem (20). Obie audiencje nie były pozbawione banalności, co nie miało razito niektórych spośród nas. 25 czerwca wróciliśmy do Campobasso, aby nazajutrz, 26 czerwca, podążyć do Porto San Giorgio nad Adriatykiem. Nowa bitwa była już w toku.

Ta bitwa nosi zwykle miano „adriatyckiej”, bo toczyła się wzdłuż wybrzeża adriatyckiego. Trwała długo, była trudna i krwawa, ale nikt prócz historyków nic o niej nie wie. Proszę sobie wyobrazić wąski pas doliny, wciśnięty między góry a morze, i jedną, jedyną szosę nadmorską prowadzącą z południowego krańca Włoch, z Bari, aż do Ankony i dalej. Proszę pomyśleć, że dziesiątki rzek i strumieni wpadało do morza poprzez nią, to jest, że szosa szła po tuzinach mostów. Nieprzyjaciel

oczywiście bronił przejścia przez każdy taki strumień i trzeba było je kolejno zdobywać.

Powietrze było zupełnie opanowane przez nasze lotnictwo, mówię „nasze” w ścisłym tego słowa znaczeniu, bo mieliśmy w tej bitwie i polskie pościgowce. Mam miłe wspomnienie z odwiedzin ks. biskupa na ich lotnisku. Siedzieli, sami młodzi chłopcy, w altance, częściowo z butami na stołach, i pili wino pod dowództwem, o ile można w ogóle pić pod dowództwem, swojego pułkownika.

Ledwo my przyjechali, zaterkotały silniki i weszło dwóch pilotów w kombinezonach lotniczych. „Jak tam było?” - zapytał pułkownik. „Ano była jedna ciężarówka, ostrzelana i spalona”. „A kto teraz leci? Ty, Janku, i może ty, Stasiu, dobrze?” Taką oni mieli wojnę. taką musieli mieć także Niemcy we wrześniu. Patrzyłem więc na tę altankę i tych pilotów polskich z przyjemnością, myśląc o warunkach, w których musieliśmy ongi walczyć. Wojenna fortuna kołem się toczy, jak wiadomo. Ale Niemcy nie byli całkiem pozbawieni lotnictwa. W dzień nie mieli wprawdzie startować, za to próbowali nam szkodzić w nocy i co najmniej dwa razy ze skutkiem. Jedna z ich wypraw skierowana była przeciw naszemu, jak go nazywaliśmy, „admiralowi”, to jest szefowi transportów. Można zrozumieć, że ten godny pułkownik, mający tylko jedną szosę dla zaopatrzenia około stu tysięcy ludzi i niezliczonych maszyn, robił, co mógł, aby pomnożyć środki transportu. Miał też całą flotyllę statków przybrzeżnych. Otóż Niemcy przylecieli w nocy i podziurawili mu prawie wszystkie. Widzę go jeszcze kręcącego węża z wściekłością przy śniadaniu po tej klęsce.

Gorsze skutki miał inny nalot nieprzyjaciela, a mianowicie na dowództwo 3. Dywizji. Musieli mieć doskonały wywiad, skoro wiedzieli, w której kamienicy stał sztab. Nalot miał podobno dramatyczny przebieg, był połączony z pożarem bazyliki itd. Ks. biskup chciał akurat w dzień po nalocie wizytować ten sztab, ale przed domem zastaliśmy kilkanaście ciał poległych, zawiniętych w koce i ułożonych rzędem. Przypominam nawiasem, że na ciało polskiego poległego nie mówi się nigdy „trup”, bo to słowo pochodzi od niemieckiego Truppe i oznacza wyłącznie zmarłego żołnierza nieprzyjacielskiego, nie swojego.

Ogólnie mówiąc, nasze straty w tej bitwie były znaczne, o ile dobrze pamiętam, większe niż pod Cassino. Trzeba było więc pomyśleć o drugim cmentarzu. Ks. biskup zlecił mi założenie go w Loreto. Jestem więc o tyle twórcą tego cmentarza, że przeprowadziłem zajęcie i wytyczenie terenu. W tym celu pojechałem jeepem do Loreto, mając ze sobą także żandarmów polowych. Na miejscu dowiedziałem się, że terenem zawiaduje prowincjał oo. kapucynów; poszedłem do niego i prosiłem o odstąpienie kawałka terenu na stoku Góry Loretańskiej opadającym ku morzu, w przepięknym położeniu. Czcigodny prowincjał, nie zdając sobie widocznie sprawy z tego, że wojna jest w toku, zaczął mi prawić, jak to jest skomplikowane, ile trzeba podań i interwencji w Rzymie. Na to, widocznie natchniony przez Sienkiewicza, powiedziałem mu: „Padre molto reverendo, ja jestem grzeczny, więc proszę, a jeśli nie dasz, to wezmę”. Zaczął gwałtownie protestować, więc wyszedłem trzaskając

drzwiami i kazałem zaraz wytyczyć cmentarz. Myślę, że to jest jeden z najpiękniejszych cmentarzy w świecie.

Niestety, jednym z pierwszych pogrzebanych na nim miał być mój brat Adzio... Był specjalistą w rozbrajaniu min, w szczególności niebezpiecznych, sprzężonych min-pułapek zmontowanych w ten sposób, że przy rozbrajaniu pierwszej wybuchała druga. W czasie jednego z naszych ostatnich spotkań mówił z nie ukrywanym smutkiem, że rozbroił już tyle min, że prawdopodobieństwo, iż na następnej wyleci, staje się coraz większe. Używając rozumowania statystycznego starałem się go z powodzeniem przekonać, że się myli. Widziałem, że moje rozumowanie sprawiało mu widoczną ulgę. Niemniej zginął rozerwany przez minę, którą rozbrajał torując drogę swojemu plutonowi w bitwie o Ankonę.

W prasie polskiej pojawiły się niedawno spekulacje na temat jego rzekomego samobójstwa. Te spekulacje są wierutnym głupstwem. Świadczy o tym nie tylko to, co właśnie powiedziałem, ale także fakt, że mój brat poległ jako dowódca oddziału w boju, że wziął ze sobą wachmistrza, a przede wszystkim, że samobójstwo było sprzeczne z jego rozumieniem chrześcijaństwa.

Prasa

Niebawem 17 lipca 1944 opuściłem na rozkaz ks. biskupa Gawliny front, aby objąć historyczne stanowisko kapelana komendy placu Rzym i - zwłaszcza - kierownika biura prasowego biskupa polowego, z dodatkowym zadaniem mobilizacji księży w razie potrzeby. Te funkcje pełniłem w ciągu piętnastu miesięcy, do dnia 15 października 1945 r. W Rzymie miałem przeżyć zwycięstwo aliantów i ich zdradę mojego kraju, który został w Jałcie wydany na pastwę Moskali.

Mimo że to był dla mnie okres pełny wydarzeń, mam z niego tylko niewiele pewnych wspomnień. Dostałem kwatery w hoteliku na rogu Piazza Venezia i Corso Umbero, gdzie było strasznie gorąco, trzeba pamiętać, że spędziłem tam dwa razy sierpień - miesiąc, w którym kto tylko może, z Rzymu wyjeżdża, i w którym jest w kalendarzu tylu świętych, bo od upałów poumierali.

Miałem siedmioro współpracowników etatowych: por. red. J.F. Drewnowski-go, ppor. red. Kleszczyńskiego, (sekretarza redakcji) panią Spatocco-Lagowską, Polkę, wdowę po włoskim generale rozstrzelanym przez Niemców, strz. mgr. J. Kelenkiewicza (administratora), Fr. Commandini, woźnego i robotnika, obu Włochów. Formalnie nie należał do Biura por. Zygmunt Kotkowski - kierownik drukarni WP w Rzymie, ale bez jego stałej, mądrej i życzliwej pomocy nie wiem, czy byśmy wykonali nawet połowę tego, co Biuro zdziało. Jemu to zawdzięczałem m.in. kupno własnego linotypu.

Mieliśmy także siedem publikacji, w tym sześć periodycznych. Co tydzień ukazywał się w Gazecie Żołnierza odcinek pt. „Wiara i walka” zwykle przeze mnie pisany. Omawiałem z nim sprawy aktualne. Co miesiąc wychodziło „W imię Boże” poświęcone sprawom bardziej zasadniczym, ale pisane w sposób popularny. Podją-

łem dalsze wydawanie „Nauki Chrystusowej”, poprzednio wydawanej w Szkocji. Kwartalnik „Rozkaz Wewnętrzny Biskupa Polowego” był przeznaczony dla kapelanów polskich. „Polish Chaplains News” dla angielskich i amerykańskich, wreszcie „Bolletino religioso Polacco” dla Włochów, zwłaszcza dla kół watykańskich.

Oprócz tych wydawnictw periodycznych zredagowaliśmy w 1945 r. modlitewnik. Jego tekst został ułożony przez komisję złożoną ze mnie i ks. kapelanów: Sławka, Wojciechowskiego i Pelca. Na dwóch posiedzeniach był także obecny ks. kpt. Walczak i na jednym ks. kpt. Dubrawka. Prace redakcyjne rozpoczęliśmy w styczniu 1945 r. Tekst był gotów 31 V 1945 r., a w ostatnim dniu czerwca tego samego roku 50 000 egzemplarzy było już odbitych.

Drukami obsługiwano w pierwszym rządzie 2. Korpus, ale, o ile pamiętam (nie mam odnośnych materiałów), część naszych wydawnictw była wysyłana do 3. Korpusu w Egipcie, poza tym od zawieszenia broni (9 V 1945) drukowaliśmy i wysyłaliśmy specjalnie wydane „W imię Boże” dla Polaków w Niemczech.

Myślę, że żadne wojsko nie miało nigdy tak rozbudowanej prasy religijnej. Według wszystkiego, co słyszałem, ta prasa cieszyła się znaczną poczytnością. Tak np. opowiadano mi wielokrotnie, że kiedy przychodziła sobotnia „Gazeta Żołnierza”, czytelnicy szukali najpierw odcinka religijnego - co zapewne nie zdarzało się często gdzie indziej.

A oto incydent zapisany w powojennym notatniku. Pracowałem wiele, często do późnej nocy. Łączy się z tym jedyny wypadek, w którym podczas tej kampanii musiałem użyć broni. Rzym i okolice były wtedy pełne dezertersów, nieraz uzbrojonych i niebezpiecznych. Raz, wchodząc z moją sekretarką koło północy schodami na Piazza di Spagna, zostaliśmy zaatakowani przez osobnika uzbrojonego w potężny nóż. Strzeliłem z mojego Beretta i trafiłem go w rękę, ale że to był pistolet 9-milimetrowy, napastnik przewrócił się. Stąd obrok duchowny: nie używać małych kalibrów - bandyta trafiony z takiej zabawki może człowieka jeszcze zadusić.

Inne moje funkcje były bardziej klasycznie kościelne. Mam pod tym względem jeden wielki wyrzut sumienia. Mogliśmy wtedy nastawiać w rzymskich kościołach tyle pomników, ile nam się podobało, a nie postawiliśmy żadnego. Mówiliśmy: □"My robimy historię, nie stawiamy jej pomników". A szkoda.

Pamiętne nabożeństwa odprawiłem dwa. Jedno w polskim kościele w. Stanisława, za duszę mojego poległego brata, w obecności Mistrza zakonu maltańskiego i bardzo licznych przedstawicieli obu korpusów dyplomatycznych (watykańskiego i kwirynalskiego). Drugie w Il Gesu dziękczynne na dzień zwycięstwa. Ja celebrowałem w asyście kapelanów amerykańskiego, angielskiego i francuskiego. Każde z czterech wojsk wystawiło batalion. Obecni byli liczni generałowie z gen. Andersem na czele. W chwili gdy miała zacząć się celebra, kapelan francuski, zwany „abbe mitraillette”, wywołał zamieszanie, protestując głośno przeciw temu, że „porucznik” amerykański zajął miejsce francuskiego pułkownika. Musiałem zdjąć szaty liturgiczne i pójść do nawy kościelnej, gdzie stwierdziłem, że domniemany porucznik był genera-

łem dywizji. Tylko że taki generał nosi w USA dwie proste gwiazdki, jak nasz porucznik.

Mam z tych czasów także żywe wspomnienie częstych spotkań z mons. Montinim, późniejszym papieżem Pawłem VI. Byłem mianowicie przez jakiś czas, będąc najstarszy stopniem, dziekanem kapelanów alianckich miasta Rzymu i jako taki miałem stale różne sprawy do załatwienia w Watykanie u mons. Montiniego. Pozostawił mi niezatarte wrażenie niezwykle inteligentnego i prawego człowieka. Był tak inteligentny, że dostrzegał od razu argumenty przeciw każdej decyzji. Nie pojmuję, jak ten człowiek mógł się zdobyć na tyle i tak ważnych decyzji jako papież. Natomiast nie dziwi mnie, że był tak nielubiany w kurii rzymskiej - zanadto górował nad swoim otoczeniem - ani to, że środki przekazu najzupełniej sfałszowały jego sylwetkę duchową. Te środki zdają się być najczęściej niezdolne do zrozumienia wielkości i wszystko ścigają do poziomu motłochu.

W Rzymie przeżyliśmy także zdradę jałtańską. Ta zdrada nastąpiła w czasie, gdy walki jeszcze trwały, i pytanie, czy warto dalej walczyć, narzucało się z siłą. Otóż ośrodek prasowy w Rzymie był rodzajem centrali politycznej korpusu: posiadał kilka wybitnych głów politycznych, z których pamiętam dr. Zdzisława Stahla, i mógł także korzystać z rad członków polskiej ambasady przy Watykanie.

Redaktorzy wszystkich wydawnictw korpusu schodzili się co dzień w południe na odprawę, której przewodniczyłem. Pytanie, co robić wobec oczywistej zdrady, było na tej odprawie długo i gruntownie dyskutowane.

Staliśmy, o ile pamiętam, wszyscy na stanowisku, że dalej walczyć nam nie wolno. Nie było już sprawy, dla której nasi żołnierze mogliby się narażać i ginąć. Odpowiedzialni za nich, a więc dowódcy, nie mieli prawa nakazywać im dalszej walki. Były wprawdzie argumenty przemawiające za tezą przeciwną. Mówiono, że przyszłość naszych żołnierzy zależy od tego, czy zechcą walkę dalej prowadzić. Powoływano się także na braterstwo broni z innymi aliantami, ale pierwszy argument robił z nas ordynarnych najemników walczących wyłącznie dla korzyści materialnej, a drugi wydał się nam niepoważny wobec tak jaskrawej zdrady tychże aliantów. W tym duchu napisaliśmy też list do gen. Andersa. Generał posłuchał jednak rady płk. Bączkiewicza i kazał walczyć dalej. Moim, i nie tylko moim, zdaniem zawiedliśmy się na nim - nie wykazał w tej sprawie wielkości.

Wspomnę jeszcze o mojej funkcji mobilizacyjnej. Jak już wspomniałem, według prawa polskiego księży powołuje do służby wojskowej biskup polowy. Otóż mieliśmy straty wśród kapelanów, pamiętam na przykład, że ks. Łuszczce granat urwał brodę z dolną szczęką, i trzeba było zapełniać luki. Z kraju oczywiście nie mogliśmy nikogo dostać, ale na szczęście był Rzym ze swoim dość dużym rezerwuarem polskich księży. Ks. biskup zlecał mi w miarę potrzeby mobilizowanie i wysyłkę na front jednego z nich.

Ta mobilizacja natrafiała czasem na trudności. Wzywam kiedy jednego z tych poborowych księży. Pojawia się w moim biurze. Wstaję i mówię: „Gratuluję księdzu.

Rozkazem ks. biskupa polowego jest ksiądz powołany pod sztandary". Reakcja - mówi, że jest chory, niezdolny do służby. Wiem, że jest zdrow jak byk, więc zapewniam go, że w wojsku mamy świetnych lekarzy. „Ale ja umrę” - powiada. „To jeszcze lepiej, kiedy kapelan umrze, sprawiamy mu pogrzeb, jakiego każdy mógłby mu pozazdrościć: z muzyką, sztandarem, i biskupem w mitrze, a jakże... Ciężarówka odchodzi jutro o piątej rano z Piazza Venezia. A oto papiery księdza...” Wyszedł płacząc, bestia, i nie pojechał. Musiałem prosić pułkownika o oficera i dwóch żandarmerów, którzy parę dni później przemocą wsadzili go do ciężarówki i wyekspediowali na front.

Najciekawsze i najbardziej pouczające jest, co się z tym kapelanem dalej stało. Przyjechał na front w nocy. Ledwo go zdołano ubrać w mundur, nastąpiło natarcie niemieckie. I proszę sobie wyobrazić, że ten ksiądz robiący w Rzymie wrażenie moralnego zgniłka zachował się niemal jak bohater. Taka jest potęga duchowa autentycznego polskiego środowiska, jakim było wojsko polskie owego czasu.

Do Szwajcarii

Kampania włoska skończyła się tak, jak kampania polska, klęską. Trzeba było myśleć o likwidacji i odjeździe do Fryburga w Szwajcarii, gdzie miałem objąć katedrę na uniwersytecie. Po wyrobieniu potrzebnych dokumentów i wypożyczeniu od Korpusu półciężarówki na moje książki wyjechałem więc najpierw 21 października do Porto S. Giorgio, gdzie stał pierwszy rzut sztabu korpusu. W dniu 22 października odbyło się dość wzruszające pożegnanie ks. biskupa, także odjeżdżającego. Obecni byli: gen Anders, jego zastępca gen. Wiśniewski, płk. Skowroński, ks. Cieński i wielu innych.

Nazajutrz moja półciężarówka prowadzona przez p. Rapackiego toczyła się stępą po drodze do cywila. Ta droga nie była łatwa - prawie wszystkie mosty zerwane. Nocowaliśmy dwa razy, najpierw w Bolonii, następnie w Como.

Na jakim postoju południowym spotkałem znajomego pułkownika amerykańskiego z drugiego oddziału. Dowiedziałem się od niego, że Szwajcaria może wystawić dwanaście dywizji, tak że sztab niemiecki szacował siły potrzebne do jej zajęcia na dwadzieścia wielkich jednostek. Mówił mi także, że w dwóch okresach, kiedy okupacja tego kraju mogła Niemców interesować, tych dywizji im właśnie brakło. Tak więc armia uratowała moją przybraną ojczyznę od okupacji. Po tej rozmowie myśl o wygnaniu w tym kraju stała się mniej przykra. W rzeczy samej między Polską, taką, jaką ją znałem, a klasyczną Szwajcarią istnieją dwa istotne podobieństwa. Z jednej strony oba narody są dość fanatycznie przywiązane do niepodległości. Z drugiej oba są gotowe bronić jej siłą - nasz hymn narodowy mówi „szablę odbierzemy”. Mam na myśli naturalnie Szwajcarię klasyczną, tę od Telia i Winkelrieda, nie tę, którą chciałoby mieć nowoczesne zgniłki moralne.

Pożegnanie z Włochami było piękne; stanąłem w hotelu zarekwirowanym dla naszych oficerów w Como, skąd był naprawdę cudowny widok nocny na jezioro i światła okolicznych wiosek. Ale największe wrażenie wywarła na mnie tamta „stro-

na", szwajcarska stacja Chiasso. Po nadaniu moich książek stanąłem patrząc jak ciele na malowane wrota na kiosk wypchany po brzegi najróżniejszą czekoladą i papierosami. Myśmy widzieli czekoladę rzadko, a papierosów dostawał każdy jedną paczkę dziennie, i koniec. Podchodzę i pytam nieśmiało, ile mi wolno kupić. „Ale, ile pan sobie życzy”. Ci ludzie nie wiedzieli, co to jest wojna.

Jeszcze większe zdziwienie czekało mnie w pociągu pośpiesznym do Lucerny. Linia kolejowa wiodąca przez przełęcz w Gotarda jest jedną z najpiękniejszych w świecie, a w dodatku naprzeciw mnie siedziała kobieta tak oczywiście odżywna i wypielęgowana, że czego podobnego nie widziałem od wielu miesięcy. Patrząc na nią zrozumiałem, jak wielki skok wykonałem do świata neutralnych cywilów. Ich szczęśliwy świat jest nieraz dumny z tego, czym jest, ale zapomina, komu zawdzięcza ten dostatek i komfort. Tym kimś są poniewierani i ginący żołnierze.